Nr. 9. Lwów, 1 maja 1899. Rok XXII.



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Trzeci Zjazd łowiecki.

Myśl urządzania zjazdów łowieckich w Galicyi, poruszona w r. 1897 przez wiceprezesa galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego, p. ordynata Czarkowskiego-Golejewskiego, rzuconą została na grunt żyzny i bujne już zaczyna wydawać owoce. Dwa pierwsze zjazdy łowieckie w r. 1897 i 1898 oddały sprawie łowieckiej niepospolitą usługę, zbliżyły do siebie sfery łowieckie, zacieśniły między poszczególnemi grupami i jednostkami serdeczne węzły towarzyskie, a nadto rzuciły niejedną myśl pożyteczną, poruszyły niejedną ważną sprawę; przypomnimy tu tylko wystosowanie memoryału do Sejmu w sprawie zmiany niektórych przepisów ustawy łowieckiej, co było tylko wykonaniem uchwał powziętych na zeszłorocznym, drugim zjeździe.

Myśl zjazdów poruszona została przez p. ordynata Czarkowskiego-Golejewskiego w szczęśliwą chwilę. Potrzeba takiego wzajemnego porozumienia się naszych łowców oddawna się już dawała odczuwać i dlatego też pierwsze dwa zjazdy, dotychczas odbyte, cieszyły się wielkiem powodzeniem.

Dziś Wydział galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego znów zwraca się z apelem do wszystkich miłośników łowiectwa, do wszystkich towarzyszy z pod sztandaru św. Huberta i zaprasza ich na trzeci zjazd, a spodziewa się, że ten zjazd trzeci będzie o wiele liczniejszy, niż pierwszy i drugi i że przybędą nasi myśliwi ze wszystkich stron kraju, i z nad Zbrucza i z pod królewskiego Wawelu, aby razem się zebrać, pomówić, naradzić się nad rozmaitemi kwestyami, wypowiedzieć swe żale i życzenia, podać sobie wzajemnie rady, oparte na długoletniem doświadczeniu, słowem zebrać się jak jedna wielka drużyna przyjaciół, służących pod jednym sztandarem, sztandarem łowieckim.

Zjazd tegoroczny odbędzie się we Lwowie, a dokładny termin jego, oraz program oznaczy komisya, wybrana dla sprawy zjazdu przez Wydział galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego.

Na posiedzeniu Wydziału wiceprezes jego p. Czarkowski Golejewski podniósł myśl, aby zjazd tegoroczny urządzić w Krakowie. Myśl tę powitano w Wydziale nadzwyczaj sympatycznie, ale na razie uchwalono nie zwoływać zjazdu do Krakowa, lecz odbyć go w tym roku jeszcze we Lwowie.

Motywem głównym, który skłonił do powzięcia tej uchwały był ten fakt, iż zjazdy nasze odbywają się dopiero od lat dwóch, zjazd tegoroczny jest trzecim, a więc nie miały jeszcze czasu i sposobności wzmódz się, wzrosnąć i ogarnąć wszystkie te sfery, które bezwarunkowo ogarnąć powinny i, da Bóg, z czasem zupełnie ogarną.

Trzeci zjazd zwabi do Lwowa jeszcze liczniejszą drużynę myśliwską, niż zjazd drugi, jeszcze silniej rozrusza naszych myśliwych, tak, że gdy wyjdzie apel na rok przyszły na zjazd czwarty, licznie i hucznie pomkniemy do pięknego Krakowa nad Wisłę, aby tam u stóp Wawelu odbyć swe czwarte wspólne zebranie. Kierując się jedynie tym motywem, motywem na względ wzmożenia i wzmocnienia idei zjazdów zaniechał Wydział na razie, choć z wielkim żalem, urządzenia w roku bieżącym zjazdu w Krakowie, a postanowił odbyć go we Lwowie.

Na ten zjazd więc imieniem Wydziału galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego zapraszamy wszystkich myśliwych w kraju, bez względu na to, czy są członkami Towarzystwa łowieckiego, czy nimi nie są. Każdy, kto hołduje tej szlachetnej rozrywce, jaką jest łowiectwo, ma prawo, a nietylko prawo, lecz obowiązek, wziąć udział w zjeździe i jego obradach, bo przez wzajemne porozumienie się, zetknięcie, przez wymianę zdań, wysłuchanie rozmaitych opinij, rad najróżnorodniejszych, możemy niespożyte usługi oddać łowiectwu, a pośrednio krajowi. Zjazdy łowieckie w Niemczech ściągają dziesiątki tysięcy uczestników. Naśladujmyż pod tym względem zagranicę, bierzmy od niej co dobre, przybywajmy na zjazdy, łączmy się, bo w łączności tylko siła, łączmy się, bo złączeni możemy spodziewać się rychłego zadośćuczynienia naszym prośbom i żądaniom.

A więc łączmy się! przybywajmy do Lwowa! Niech wśród myśliwych naszych w kraju stanie się hasłem: wyjazd na trzeci zjazd do Lwowa, niech myśliwi między sobą jeden drugiemu podaje to hasło, a zjazd będzie wspaniały i obfite przyniesie owoce!

A więc w górę sztandar łowiecki! Łowcy! obowiązkiem waszym przybyć na trzeci zjazd łowiecki do Lwowa. *Redakcya.*

DO GAWRY.

Przez Leopolda hr. Starzeńskiego.

Dokończenie.

Dalszej martyrologii mej opis urywam
I o nieco współczucia czytelnika wzywam
I dalszego pochodu opiewać nie będę,
Bo nie piszę tragedyi, lecz zwykłą gawędę.
Dość, że znów się nazajutrz spinałem pod górę,
Zdało mi się, że ręką już uchwycę chmurę,
Aż z południa mi Wasyl znów rzekł słowa znane:
„Wże duże nedałeko je do gawry, Pane“.
Za chwilę... (tu omyłka, lecz nie z mojej winy;
Ta chwila trwała znowu półtorej godziny),
Za chwilę się zatrzymał, naprzód wygiął ciało,
W dali ręką pokazał mi jodłę spruchniałą,
„Win tam je!“ Jam wzrok utkwił tak w Wasyla lice,
Jakby żołnierz przed bitwą w dowódzcy oblicze.
Stałem na jego rozkaz teraz nakształt sługi,
Byłem mu automatem, jakby Dmytro drugi.
Krótko mi plan kampanii wyszeptał do ucha,
Aby nas nie podsłuchał przypadkiem marucha.
A mnie serce tak głośno wśród piersi pukało,
Żem się lękał, by z gawry mysia nie wygnało.
Stałem o dziesięć kroków przed otworem w jodle,
Obok Dmytro na łomie siadł jakby na siodle,
A Wasyl uderzeniem siekiery o drzewo
Miał z gawry wygnać zwierza. Zwrócił się na lewo
I ku ziemi się schylił; nagle się obrócił,
Chwycił kudły oburącz, kapelusz w śnieg rzucił,
Skamieniał jakby posąg, dwie pięści wzniesione...
I jęknął: „Wyjszou!... Wyjszou!...“
Tu spuszczam zasłonę.

. . . .

Bo i cóż dalej pisać?... Myś nie głupi wrócić,
Trza kartę wizytową do gawry mu rzucić.
Wasyl ręczył na pewno... Któż mu nie uwierzy?
Że musiał wyjść już dzisiaj, bo trop całkiem świeży.
Poszedł za Czarną debrę do swej gawry drugiej,
Albo może do trzeciej, u Maćkowej strugi.
Lecz nie, do Czarnej debry, tamtędy trop bieży
I tam teraz z pewnością w swojej gawrze leży.
„A daleko ta gawra?“ jeszcze zapytałem.
„Za horbkom, nedałeko!“ znów odpowiedź miałem.
Dowiedziałem się także, że zaraz, w tej chwili,
Gdybyśmy tylko znowu się w pochód puścili,
Przeszli jeszcze dwa horbki i rzeczkę za borem,
Bylibyśmy tam pewno jutro przed wieczorem.
„Idź do sto.....“ wykrzyknąłem, z gniewu drżący cały.
„Prowadź mnie już do domu!“ Wasyl stał zgłupiały,
Bo jego myśli wieszcze odrazu odgadły,
Że owe stargowane dwa byczki przepadły.

Gdy niegdyś Napoleon, na czele swych szyków
Szedł do Moskwy wśród wojsk swych wesołych okrzyków,
Było mu też wesoło, bo pewny ich męstwa
Szedł przed siebie z nadzieją, — z nadzieją zwycięstwa.
Lecz jak smutno mu było, gdy ze sercem, z trwogą,
Zbity, musiał powracać znów tą samą drogą.
Smutno, smutno powracać było z Berezyny!
Tak jam z mej Berezyny wracał nieszczęśliwy.
Jak mi było, zrozumie to każdy myśliwy.
Mróz sfolgował, lecz klęski szły na mnie szeregiem
I po chwili się puścił gęsty deszcz ze śniegiem.
Gdyśmy wypoczywali cisza była wkoło,
Nikt nie mówił, bo w duszy było nie wesoło,
Ja w milczeniu gdzieś myśli puszczałem żeglugą
Za niedźwiedziem, za Debrą lub Maćkową strugą,
Wasyl pewno posyłał swe myśli stroskane,
Gdzie zostały dwa jego byczki stargowane.
Tylko Dmytro zaświadczał swem gapia obliczem,
Że teraz, tak jak zawsze, nie myślał o niczem.
O mym drugim noclegu myślałem z przestrachem,
Tu, gdzie kaptur mej burki mym jedynym dachem.
By się wypogodziło, to płonne nadzieje:
Z obłoków deszcz ze śniegiem i leje i leje.
Ogień trudno rozniecić, bo dokoła wody,
Jakby gąbki przemokły gałęzie i kłody
I były ogniotrwałe pomimo podpałki,
Jak wyrabiane w naszych fabrykach zapałki.
Straszne to położenie i rozpacz jest bliska,
W górach tak noc zimową spędzić bez ogniska.
Więc w burkę owinięty w zadumaniu siedzę,
Kręgów dymu mojego papierosa śledzę,
A moi dwaj górale, jak śledzie w szeregu,
Śpią smacznie, jakby w puchu, na wilgotnym śniegu.
I anioł senny zaczął okrążać dokoła,
Lecz nie chciał jednak ręką dotknąć mego czoła.
To przed okiem mem płynie temat poematu,
To znów wije się nitka nowego dramatu.
W tem mi stanął przed myślą artykuł, przed laty
Napisany do *Łowca*, tak w humor bogaty.
Autorem był Wodzicki. Dowcipnemi słowy
Opowiada w nim, w górach też nocleg zimowy.
I ja też uczestnikiem tej wyprawy byłem
I te wszystkie przygody wspólnie z nim dzieliłem.
Ale czem był ów nocleg wobec dzisiejszego!?...
Mnie tam nie brakowało do szczęścia niczego:
Zimno było, to prawda; mróz przejmował dreszczem,
Ale przecież nie padał śnieg wilgotny z deszczem.
A była i herbata i różne przekąski,
Była szynka, ser, ozór, pasztet i półgąski.
Płomienie się ogniska aż w szczyty drzew wznoszą,
Żeby w nich się Lucyper wykąpał z rozkoszą.
Jam się na moją dolę nie uskarżał wtedy;
To nocleg sybarycki, wobec mojej biedy.

Wszystko ma kres na świecie, takie to są prawa,
Więc do kresu dobiegła i moja wyprawa.
Po marszu całodziennym, po godzin trzydzieści
U stóp horbka mojego znalazłem się wreszcie.
Cudny, górski krajobraz był tutaj widziany:
Tu szczyty zaśnieżone, tam, skaliste ściany,
Lecz ja, chociaż przyrody podziwiacz namiętny,
Już dziś na te piękności byłem obojętny.
Byłbym wolał je widzieć... Któż me zdanie dzieli?
W domu na fotografii, albo akwareli.
Był mi najponętniejszym teraz wśród wędrówki,
Wyznać muszę ze wstydem... widok leśniczówki.
Bo jakąż to rozkoszą wędrowca napawa
Ciepły pokój, łóżeczko i wyborna kawa!
A w pełni te rozkosze pewno ten uczuje,
Kto w górach aż dwie noce bez dachu koczuje.

Choć z powrotem — kolegów byłem pośmiewiskiem,
Oraz z awanturnika zostałem nazwiskiem,
Choć widoki tryumfu były oczywiste,
Lufki sztućca mojego znów zostały czyste.
Wyznać jednak z szczerością obowiązek czuję:
Tej szalonej wyprawy jednak nie żałuję.
Bez niej nie byłbym zdobył... co mam w wielkiej cenie,
Jedno jeszcze myśliwskie, nowe doświadczenie.
Niech ono pożyteczną zostanie przestrogą
Dla tych, którzyby chcieli kiedyś iść mą drogą.
Bez niej nie byłbym w stanie o gościnność prosić,
Ażeby w szpaltach *Łowca* ten wierszyk ogłosić.
I nie zrobiłbym wotum, że mam przedsięwzięcie
Aż do końca dni moich już dotrzymać święcie,
Wotum, że niech sto mysiów w zimie w lasach siedzi,
Nigdy w góry nie pójdę do gawry niedźwiedziej.

POLOWANIE NA JELENIE

w Karpatach pokuckich.

Tłómaczenie z notatek myśliwskich E. Buxtona (Short Stalks by Edward North Buxton).

Ciąg dalszy.

Gdy nareszcie wszystkie wskazówki spamiętano i konie objuczono, wyruszyliśmy w drogę. Jechaliśmy wszyscy razem doliną między wysokiemi górami. Przejeżdżaliśmy przez wielkie łany kartofli, zielone łąki, folwarki, tu i ówdzie posiane, czasem widzieliśmy zdala mały kościółek, który wydawał się zupełnie okrągłym, a był w rzeczywistości w kształcie krzyża greckiego zbudowany. Po dwóch godzinach wspólnej jazdy pożegnaliśmy się serdecznie po myśliwsku licznymi okrzykami. Godzinę jeszcze drapałem się pod stromą

górę i dojechałem do mojej kwatery. Był to szałas o jednej izbie, zbudowanej wśród lasu, dostatecznie, ale nie bogato umeblowany, jedyne sprzęty stół, ława i półki, służące jako łóżka; półki te do spania pokryte są na sześć cali grubo iglicami sosnowemi i rzeczywiście trudno wymarzyć sobie lepszy materac. Podłoga z ziemi ubita, posypana jest temi samemi iglicami i one zapełniają powietrze miłym i świeżym zapachem. Niemiłe tylko są te niezliczone pająki, które się w nich kryją.

Obok znajduje się otwarta buda dla ludzi, w środku izby rozłożone jest ogromne ognisko, na około którego siedzą wszyscy lub drzemią z piętami do ognia zwróconemi, podczas gdy dym uchodzi szczytem dachu, otwartego po obu końcach. Czasem proste szopy, korą pokryte, służą tym ludziom za schroniska, zasłaniając ich wystarczająco od niepogody. Każdy myśliwy dostaje 6 lub 8 huculów, kilku dogląda koni, a reszta tworzy tak zwany „obiadowy express“; ci ostatni wychodzą z koliby, gdy dzień świtać poczyna i udają się do najbliższego „Jagdhausu“. Gdy zgłodniały myśliwy wraca do swojej kwatery, spostrzega z radością cały szereg miedzianych garnków, z których wydobywają się rozmaite miłe zapachy, a cenna ich zawartość, gdy w popiele wielkiego ogniska rozłożonego przed szałasem odgrzaną została, staje przed myśliwym. Ale właściwie dopiero wtedy można przekonać się, jak potrzebni są krajowcy, gdy się uda zabić jaką wielką sztukę; ważą one nieraz od 30—40 „stonów“ i muszą być pokawałkowane i dopiero w ten sposób na barkach ludzi przenoszone aż do miejca dogodnego, skąd już dalej końmi są przewożone. Winter nadleśniczy, który bardzo dbał, aby mi się polowanie powiodło, zwierzył mi się, że mój miot był w całym lesie najlepszy. Oczywiście gorąco pragnąłem o tem się przekonać, ale nie mogło być mowy o tem przed 3-cią z rana. Chwilę więc przedtem siedliśmy na kraju doskonałej górskiej łąki, ogrodzonej belkami i nadsłuchiwaliśmy; dochodził do nas bardzo wyraźnie ryk niedaleko pasącego się bydła, nawoływanie pastuchów i szczekanie psów; myślałem, że ich obecność przeszkadza jeleniom, albo je nawet spłoszy, ale Winter zaręczał mi, że jelenie bydła wcale się nie boją, mają one tylko wstręt do owiec i kóz i dlatego też zabraniają paść je w dobrych miotach. Nareszcie usłyszeliśmy długo oczekiwany głos, naprzód przeciągłe „yaw-w-w“, potem kilka niecierpliwych pomrukiwań, które jeleń wydaje, gdy w złym i wyzywającym jest humorze. Ale jakże to poznać zkąd ten głos się wydobywa, gdy nie widzi się przed sobą nic, prócz morza wierzchołków drzew, a odgłos rozchodzi się tak często mylnie! Puściliśmy się wszakże zaraz ostrym pędem i gdy jeleń z jakie 20 minut później znowu się odezwał zdawało się nam, że musi być niedaleko od nas w dolinie. Zbiegliśmy potem z góry, przeskakując przez powalone drzewa lub popod nie się prześlizgując; następnie zatrzymaliśmy się oczekując nowych wskazówek. Iwan spróbował teraz wabić, ale naśladowanie głosu, który tym razem wydobył z wielkiej muszli, mniej było udatne od głosu wydanego butelką. Odpowiedzi nie było. Może ton był zanadto fałszywy i wydał się podejrzany jeleniowi. To musi często się wydarzać, zwłaszcza starym i doświadczonym jeleniom. One czasami odpowiadają, ale leżąc zwykle nisko w dolinie; zdaje mi się, o ile mnie moje doświadczenie nie zawodzi, że takie stare byki nigdy na wabika nie przychodzą. Po tej nieudanej próbie usiedliśmy na belce i czekaliśmy aż do zmroku; raz zdawało mi się, że słyszę suchy trzask łamanej gałęzi i może wtedy powinienem był starać się podchodzić, ale straszny gąszcz odjął mi wszelką ochotę. W tym rodzaju myśliwstwa trzeba sobie powiedzieć: „Bez pracy nie ma kołaczy“. Wreszcie zapaliliśmy latarkę i wśród ulewnego deszczu wróciliśmy do koliby.

Mój wierny towarzysz leśniczy spał ze mną, ale niestety tak strasznie chrapał, że przez całą noc rzucałem na niego butami, ale ponieważ miałem pożyczone filcowe buty, nie wiele szkody mu robiły. Nazajutrz mieliśmy dojść do wielkiej doliny, gdzie niedawno był zrąb. Aby się tam dostać musieliśmy przejść przez stary wyrąb i przez górną część doliny, która tworzy jakby wielkie półkole, zwane Błażów. Wydaje się ona łatwą do przebycia, ale ogromne maliniaki, wyższe od człowieka, utrudniają ogromnie chodzenie, zasłaniając zupełnie zgniłe pnie i korzenie. Pod koniec tego dnia dolne części mego ubrania były na kawałki poszarpane. Znajdowałem się w ulubionem miejscu jeleni, to też słyszałem formalne chóry takich tenorów i basów, jakich dotąd nigdy nie spotkałem. Najmniej trzy jelenie ryczały wtedy, a ich głosy, rozchodząc się po dolinie, odbijały się echem o sąsiednie góry. Jest bardzo ważną rzeczą umieć oceniać wielkość byka według jego głosu, a znając w tym względzie doświadczenie krajowców ufałem zupełnie memu towarzyszowi. Stare byki odzywają się zwykle krótko, wydając mruczenie podobne do głosu świń, łakomo rzucających się na pokarm. Tylko z początkiem pory rykowiska odzywają się byki nieco przeciąglej. Ryk zaś „Beihirscha“ jest zupełnie nieodpowiedni do jego wielkości, jest głośny, czysty i bardzo pewny siebie. Takiego jelenia ujrzałem teraz o jakie 400 kroków, pasącego się w towarzystwie kilku łań. Niewarto go było podchodzić więc rozglądałem się za królem tego stada. Ryczał on na grzbiecie góry, ale około godziny 7-mej umilkł; w tym wypadku zwykli śmiertelnicy muszą czekać aż znowu raczy się odezwać. Schroniliśmy się do budy leśnego i tam przeczekaliśmy parę godzin. Amerykanie nazywają to „sitting on a log“ zapewne dlatego, że cierpliwość jest wielką cnotą i zwykle myśliwemu się opłaca. Tej cnoty ja nie posiadałem i zapominając o nieudałej wycieczce zeszłej nocy, począłem się drapać na sam szczyt góry, w nadziei, że podejdę jelenia przed południowym koncertem; tymczasem spłoszyłem tylko dwie łanie, a jelenia ani śladu. Dopiero o 3-ciej usłyszałem i ujrzałem innego byka na krańcu polany; musiałem zrobić wielkie koło, by dojść do niego i spieszyć się przytem, bo już zmierzch zapadał, niestety wszelkie wysiłki spełzły na niczem, bo gdym doszedł do miejsca już zwierza nie było. Musieliśmy wracać do domu trochę po omacku, latarnie zaś nasze spłoszyły jelenie, które się gęsto i często odzywały. Jeden z nich tak bezczelnie blisko nas zaryczał, iż myślałem, że lada chwila z poza drzew na nas się rzuci.

Trzy dni już podchodziłem jelenie, emocye tak właściwe myśliwemu nieraz mnie opadały, ale jak dotąd rezultatu moich trudów nie było. Miałem już tylko jakich ośm dni polowania przed sobą, trudności i umęczenia bardzo wiele, ale pocieszałem się myślą, że wytrwałość przecież prędzej czy później bywa wynagradzaną. I tak się też stało.



Wyjazd na polowanie.
Z obrazu J. Fałata.

Wyobraźcie sobie śliczny ranek z przymrozkiem; może być uważane za regułę, że gdy zimno i sucho jelenie chętnie się odzywają, skoro zaś wiatr południowy wieje, a przytem jest ciepło i wilgotno, jelenie milkną. Po półgodzinnym marszu usłyszeliśmy przed sobą głosy, z których sądzić było można, że mamy do czynienia z pięknymi okazami.

Posuwając się ciągle naprzód przekonaliśmy się, że znajdują się one na szczycie „Czorna hora“, na której to górze myśmy się znajdowali. Cała ta przestrzeń była zalesiona, a ziemia pokryta wspomnianymi już wyżej wywrotami drzew. Ale na odwadze mi nie zbywało, zresztą umiałem już sam sobie torować drogę w tych trudnych miejscach. Tymczasem droga okazała się lepszą, niż zazwyczaj i na szczęście mogłem postępować nie łamiąc gałęzi i żadnych głupstw nie robiąc. Już tak umiałem cicho stąpać, że prawie nastąpiłem na śliczną kunę leśną i cieszyłem się, że skoro potrafiłem nie spłoszyć tak czujnego zwierza nauczyłem się wreszcie podchodzić. Jeden z jeleni głośno ryczał i teraz byłem pewny, że znajduje się na wzgórku o jakie 100 sążni przedemną. Między nami było zagłębienie mniej porosłe niż zwykle, ostrożnie zeszedłem na dół i stanąłem. Przestraszyłem się wiatrem, który nagle powstał i wydawało mi się, że niósł parę z ust moich w kierunku miejsca, w którem jeleń ryczał. Chciałem zapalić fajkę, by się dokładnie przekonać o kierunku wiatru, gdy nagle z maliniaków wyskoczył o jakie 50 kroków wielki, siwy byk. Myślę, że mnie zwietrzył albo zobaczył. Chwilę stał zasłonięty rozłożystym konarem, potem ruszył naprzód wolnem tempem i wtedy posłałem mu kulę w łopatkę i usłyszałem trzask łamiącego się drzewa. Gdy się dym rozszedł, co mi się wydało wiekiem, ujrzałem go rzucającego się po ziemi; byłem tak pewny, że go już mam, że strzelby już nie nabiłem, tymczasem on powstał i począł uchodzić. Zanim zdołałem nabić sztuciec znajdował się już za grubemi drzewami i strzeliłem tylko na chybił trafił; z jakim rezultatem nie miałem pojęcia. Gdy ludzie do mnie doszli poszliśmy za farbą, potem zatrzymaliśmy się, by jeleń, jeżeli uchodził, nie czuł, że go gonimy. Wydaje się to trochę okrutnem, ale ponieważ to najpewniejszy sposób dostania postrzelonego zwierza, jest też i najlitościwszy. Po dłuższem czekaniu, które przyznaję wiele mnie cierpliwości kosztowało, ruszyliśmy znowu za farbą. Czasem wdrapywaliśmy się na ogromne pnie, czasem znowu na rękach i nogach czołgaliśmy się przez miejsca tak wąskie, że trudno było zrozumieć jak tak wielkie zwierzę mogło się tędy przedostać. Przekonaliśmy się, że miał jeszcze siłę przeskoczyć przez obalone drzewo najmniej 4 stopy wysokie; dla nas zły znak. Iwan zaś zauważył po śladach farby na liściach, że miał obydwie kule. Paręset kroków dalej poczułem mocny zapach i ujrzałem mego jelenia leżącego; zesztywniały był już zupełnie, zapewne od 2 lub 3 minut nie żył. Uradowany dobiegłem go, by porachować końce; na jednym rogu miał ich siedem, na drugim pięć. Wspaniały zaiste okaz, ale niestety nie był to jeszcze najpiękniejszy, jakie w tych stronach ubijano. Tymczasem Iwan pokrywał rękę moją pocałunkami, a Winter, wyjąwszy z górnej szczęki grandle, podał mi je na swej czapce wraz z gałązką jodłową, którą miałem nosić na znak mej zdobyczy; jest to zwyczaj trwający już parę wieków.

Wróciwszy do koliby wysłałem wszystkich moich ludzi, by jelenia wypatroszyli i poćwiartowawszy go, mięso do domu przynieśli. Kawałki ważone osobno doszły do 29 stonów, ale naturalnie przy tym sposobie ważenia bardzo wiele się traci na wadze. Przez 36 następnych godzin panowało tajemnicze milczenie, które myśliwego dziwi i niejako z tropu zbija. Wczesnym rankiem usłyszałem kilka razy ciche porykiwanie, które jednak zostało bez odpowiedzi. Wiatr był południowy, czas ciepły i wilgotny, z upragnieniem wyczekiwaliśmy mrozu, przy którym krew pana lasów szybciej krąży. Szansa spotkania jelenia przypadkiem jest bardzo mała, to też, aby czas zająć, chodziłem za tropami niedźwiedzi, które tutaj licznie się pojawiają. Parę dni pierwej jeden z moich współmyśliwych widział i strzelał do trzech sztuk niedźwiedzi w kupie, mówiono mi też, że porwały one były kilka owiec z pastwiska. Nazajutrz było mroźno i pogodnie, ale musiałem się udać do domku myśliwskiego w Zielomieży, odległego od 5 do 6 godzin. Na szczęście wielka dolina Błażowa znajdowała się na naszej drodze i tu z radością usłyszałem dwa rywale, odzywające się wściekle wprost przedemną. Piękny o ile sądzić mogłem z głosu byk, może ten sam, który mi uciekł parę dni przedtem, mruczał gniewnie. Obrałem sobie drogę, którą dawniej belki spuszczano; podchodzenie nie było tak łatwe, że aż mnie to wstydziło. Wtedy zdarzył mi się dziwny wypadek: po moim strzale jedna z łań, która była z jeleniem, stanęła na grzbiecie góry i od czasu do czasu odzywała się. Nie wiedząc, że jeleń, do którego strzelałem, leży o jakich 20 kroków od nas, szukaliśmy śladów farby, gdy w tem usłyszeliśmy głośne łamanie gałęzi, ale będąc w gęstwinie nie mogliśmy nic widzieć. Podczas gdyśmy się zastanawiali nad przyczyną tego łomotu jeden z ludzi, który został był na drodze, przybiegł z wiadomością, że drugi duży jeleń przeszedł przez dolinę kierując się ku łani. Było to jasnym dowodem, że w tych dzikich, nieostrzelanych stronach jelenie strzału się nie boją i tak w pośpiechu swoim on prawie na nas wyszedł. Nie bardzo się zmartwiłem jego ucieczką będąc wielce uradowany moją pierwszą zdobyczą. Jeleń ten o wiele był piękniejszy od pierwszego przezemnie zabitego, rogi na 45 cali długie, a na 40 cali rozłożyste. Poćwiartowane zaś części mięsa ważyły razem do 35 stonów. Szczęście moje więc rosło znacznie, wiedziałem, że ten jeleń należy już do bardzo dobrych, ale mój gospodarz dodając mi otuchy kazał spodziewać się jeszcze piękniejszego.

Dokończenie nastąpi.

KORESPONDENCYE.

Dnia 31. stycznia b. r. odbyło się polowanie w Sobiborze, w lasach należących do p. Tadeusza Wernera. W 9 strzelb zabito 2 kozły i 29 zajęcy. Sarn okazało się w lesie dosyć dużo, zajęcy stosunkowo mało; przyczyną tego są niewątpliwie nieszczęsne serwituty, wskutek których włościanie niszczą w lasach nietylko drzewa, ale i zwierzynę. Po skończonem polowaniu pp. Kazimierzowie Wernerowie przyjmowali myśliwych w swym domu, prawdziwie ze staropolską gościnnością, która uczestnikom na zawsze pozostanie w pamięci.

Uhryń, 17. marca.

W ubiegłym sezonie polowania wskutek niesprzyjającej pory bardzo źle wypadły. Będąc na kilku polowaniach, których wyniku jeszcze nie podano, załączam mały wykaz:

w Piłatkowicach u. p. St. Rudrofa w 4 strzelby padło: 1 dzik, 2 lisy, 18 zajęcy, 1 rogacz; dzików było około 30 sztuk, ale wszystkie wyszły na jednego myśliwego; z nich jeden został zabity, a dwa ranione, nie zostały jednak znalezione, bo właśnie wtedy na czarnej stopie polowaliśmy i tropienie było niemożliwe.

W Zalesiu u p. Maurycego Fellsehna polowano w 15 strzelb; padło 3 dziki, 4 kozły, 30 zajęcy.

W Szmańkowcach, konwent OO. Dominikanów, polowanie mogłoby być bardzo ładne, ale ponieważ w kompleksie 500 m. odbywa się co dwa tygodnie jedno duże polowanie, a co tygodnia po kilka małych, przeto rezultat na jednem z takich dużych był podobno nadzwyczajny, bo 1 zając.

Uhryń w 8 strzelb: 65 zajęcy, 1 kozioł; wynik bardzo słaby, bo w grudniu wiosenna pogoda była tak, że w surdutach tylko, bez futerek, polowaliśmy.

Szmańkowczyki, pani Br. Platner, w 6 strzelb: 20 zajęcy, 3 rogacze i 2 lisy.

Na Bukowinie polowałem w kniei p. Romana Freitaga w Waszkowcach; gospodarz myśliwy, śliczny stan zwierzyny; w 6 strzelb padło 49 zajęcy, 4 rogacze, 5 lisów.

W Karapczyjowie, p. Romana Krzysztofowicza, knieja cudowna na grubą zwierzynę; widzieliśmy kilka łań. Jelenie przedarły się przez nagonkę; dużo bardzo było jarząbków, ale spodziewając się jeleni nikt nie strzelał; padło 8 zajęcy i 5 lisów n. b. na krańcu lasu. Jeden z naganiaczy ciekawie przyglądał się mojej strzelbie i spytawszy o cenę zawyrokował, że musi sobie taką kupić. Tam prawdopodobnie rzadko kiedy noga żandarma postoi w lesie, to też często zdarza się, że podczas polowania strzały kłusowników słychać było w oddali, bo też trudno, żeby leśni mogli upilnować tak dużej kniei, chociaż młody gospodarz, będąc zapalonym myśliwym i doskonałym strzelcem, nakazuje, by odbierali strzelby kłusownikom. W zeszłym roku padł w tej kniei jeleń ośmnastak, ważył 316 klg.

Wyczytawszy w *Łowcu* o kopanych dołach na lisy, zrobiłem u siebie próbę; była w uprzęży kaczka, tak jak to szanowny korespondent radził, ale ten sposób lisom tutejszym nie podobał się, bo ani jeden nie chciał skosztować tej przynęty; za to wpadło do jamy 14 psów, co naturalnie jest nader korzystnem do tępienia tych kłusowników czteronożnych. Lisy u siebie z wielkiem powodzeniem tępię z jamnikami; w lecie pieski z jednej jamy lisiej wyciągnęły 12 sztuk małych lisiąt. Wydaje się to za duża cyfra, jednak fakt autentyczny; leśni myśleli, gdy psy wyciągnęły 5, że to już koniec, tymczasem psy niezmordowanie szły do jamy i ku ogólnemu naszemu zdziwieniu wyciągały skazańców jak z rogu obfitości. Za to innym razem na polu z jamy tylko jednego dostaliśmy, a polowy pobereżnik zawyrokował: *proszu pana to ne wse w seredu Petra.* Podczas ostatniej śnieżycy szukałem po jamach, jedna tylko lisica ukoronowała tę wycieczkę.

Przykro mi, że będąc delegatem dopiero pierwszy raz odzywam się, obiecuję jednak poprawę.

Tadeusz Potocki.

Bulowice, 12. lutego 1899.

Sezon polowania r. 1898 skończony, chcąc zatem zadość uczynić obowiązkom moim, jako delegata, oraz wywiązać się z danej obietnicy, przystępuję do przedłożenia ogólnego sprawozdania łowieckiego ze stron tutejszych z ubiegłego sezonu, zaznaczając z góry, że drugi delegat Towarzystwa łowieckiego na powiat tutejszy p. br. H. Czecz z Kóz, będący posłem do Rady państwa, marszałkiem powiatowym i prezesem okr. Tow. rolniczego, do tego stopnia obarczony jest pracą, że sprawozdania łowieckiego żadnego dać nie może, a to tem bardziej, że nie miałby o czem pisać, albowiem z przyczyn podanych już w wyczerpującym moim artykule z roku zeszłego, wydrukowanym w *Łowcu* w numerze wrześniowym r. z., powiat nasz na rewiry myśliwskie jak to Tow. łowieckie od delegatów swych zażądało, na żaden sposób podzielić się nie da. Proszę zatem korespondencyę moją uważać za wspólną i zbiorową.

Aczkolwiek mało nas tu jest prawdziwych myśliwych, co możemy, to czynimy. Otóż z wiosną ubiegłego roku zadzierżawiłem w spółce z panem Oskarem Rudzińskim z Osieka (oprócz polowań wsi, w których zamieszkujemy a których oczywiście z rąk nigdy nie wypuszczamy) na lat 6 prawo polowania w Witkowicach (morgów 1903) i w Kańczudze (morgów 315) i ustanowiliśmy natychmiast w obydwu tych miejscowościach, graniczących z naszymi terenami, zaprzysięgłych strażników. Dnia 1. listopada r. z. zadzierżawiłem w spółce z p. br. Czeczem, sąsiadem moim, na lat trzy prawo polowania na gruntach do gminy miasta Kent należących, przeszło 3200 morgów obszaru mających. Nie mogliśmy zadzierżawić tej przestrzeni na lat 6, dla tego, że ona dobrowolnie odstąpioną nam została przez spółkę krakowską, która ją podczas trzech ubiegłych lat posiadała.

Oprócz tych wiadomości nic wesołego, ani ducha myśliwskiego podniecającego z okolic naszych niestety tym razem donieść nie mogę. Cóż z tego, żeśmy tak znacznie tereny nasze myśliwskie rozszerzyli i zaokrąglili, gdy przed kłusownikami i sidła zastawiającymi złodziejami zwierzyny obronić się nie możemy. Nowa ustawa łowiecka nic nam nie pomogła! czysta ironia! Od czasów moich młodocianych, jak daleko pamięcią sięgnąć mogę, nigdy jeszcze tak źle nie było. Bez przesady rzec mogę, że u mnie

w Bulowicach niemal połowa włościan poluje. Musiałem straż łowczą podwoić i za każdą odebraną kłusownikom strzelbę premię pięciu złr. ustanowić. Pomogło to cokolwiek, bo w krótkim czasie przyniesiono mi pięć strzelb i nieprawnie polujących zaskarżyć mogliśmy. Leśniczy się rozbijał na wszystkie strony, a gdy tylko znalazłem chwilkę wolną, ruszałem w pole ze służbą moją domową. Do jakiego stopnia ludzie ci są zaciekli dowodzi ten fakt, że w tych samych miejscach, któreśmy dnia poprzedniego obeszli i sidła pozbierali, nazajutrz przechodząc przez ciekawość, znowu znajdowaliśmy nowe sidła. Jednego kłusownika tak leśniczy mój ze strażnikiem przyparli nad rzeką Sołą, że nie wiedząc, jak sobie dać rady, wskoczył do rzeki bardzo głębokiej i rwącej w tem miejscu, a ponieważ zmrok zapadał, a było to z początkiem stycznia, nie wiadomo do dziś dnia czy wypłynął na brzeg przeciwny, czy się utopił. Nareszcie uprzykrzyło się im, od dwóch tygodni bowiem nikogo nie złapano.

Jeżeli się stosunki tej jesieni nie poprawią, jestem do tego stopnia zniechęcony, że nie odnowię dzierżawy polowania gminnego, kończącej mi się w r. 1900. Czynsz płacić, oprócz tego kilku strażników utrzymywać, to droższa przyprawa niż potrawa; fortuny szlacheckie nie wystarczają na takie zbytki.

Jeden kolega łowczy z pod Oświęcimia doniósł mi, że co do ochrony zwierzyny to ze strony starostwa można jeszcze liczyć na jakieś poparcie. Sąd powiatowy tamtejszy, rzec prawie można, wcale kłusowników karać nie chce. W tym sezonie został u niego schwytany kłusownik na gorącym uczynku w polu, ze strzelbą. Gdy do rozprawy sądowej przyszło, pomimo, że świadkowie pod przysięgą zeznawali, że chodził po polach i strzelał, całkowicie uwolniony został, albowiem ubitej zwierzyny przy sobie nie nosił. Póki nie będziemy mieli w całym kraju równomiernego i należytego poparcia ze strony władz, dopóty prawidłowe rozmnożenie się zwierzyny u nas pozostanie niedoścignionem marzeniem. Co do mnie to konstatuję z przyjemnością, że na mój najbliższy powiatowy sąd w Kentach ani skarżyć się, ani użalać żadnego nie mam powodu. Zaskarżonych kłusowników ukarano o ile tylko paragrafy na to zezwalają jak najostrzej i żandarmów do odbywania rewizyi w domach podejrzanych o kłusownictwo włościan, wydelegowano. Oby tak było w całym kraju, to z pewnością wszelkie utyskiwania na władze ustałyby.

W moich rewirach łowczych	Bulowice circa	3000	morg.
	Hecznarowice „	400	„
	Nowawieś „	1160	„
	Bujaków dworskie	350	„
	dworskie i gminne razem	4910	morg.

okazywał się ogólny stan zwierzyny dosyć zadowalający, z wyjątkiem sarn i bażantów, dziko chowanych, które pomimo łagodnej zimy i starannej opieki bardzo niedostatecznie się rozmnażają.

Większych polowań nie odbywałem, a w nowo nabytych rewirach Kenty, Kańczuga i Witkowice, gdzie polowanie jest podniszczone, (razem 3050 morgów), wcale nie polowałem, również w Bujakowie. Chodząc sam z wyżłem lub razem z leśniczym ubiliśmy tego roku na kuchnię i na niezbędne podarunki wigilijne lub noworoczne: zwierzyny pożytecznej: 1 rogacza, 56 zajęcy, 9 bażantów, 3 dzikie kaczki, 155 kuropatw, 4 przepiórki, 7 derkaczy (chruścieli). Szkodliwej: 1 lisa, 6 psów, 13 kotów, 16 wron, 17 srok, 3 łasice, 1 jastrzębia, 2 krogulce, 2 sowy. Razem 296 sztuk.

Większa część zajęcy zabita została w Hecznarowicach, jest to bowiem specyalnie teren zarezerwowany na kuchnię, mniejszą część zabiliśmy w Nowejwsi, gdzie ziemia jest przepuszczalna, cieplejsza, wskutek czego zwierzyna się tam szybciej rozmnaża i uzupełnia, aniżeli w Bulowicach, gdzie grunta są nieprzepuszczalne, wilgotne i zimne. Szkodliwe ubite zostały przeważnie przez straż łowiecką. U schyłku roku bieżącego mam zamiar urządzić większe polowania, o rezultacie których, da Pan Bóg doczekać, w swoim czasie doniosę.

Nadleśniczowstwo arcyks. Karola Stefana w Bestwinie doniosło mi co następuje:

Rewiry tamtejsze składają się z miejscowości:

	Bestwina	1187	morgów
	Dankowice	995	„
las dworski i gminne	Jawiszowice	2704	„
	Janowice	785	„
	Przeciszyn	264	„
	Skidzin	292	„
	Wilczkowice	154	„
	Razem	6381	morgów

Jedynie w Bestwinie mają leśniczowie arcyksięcia prawo polować na dworskiem i gminnem terytoryum, w innych zaś miejscowościach dzierżawią polowania gminne, na obszarach dworskich zaś polują dzierżawcy, wskutek czego stosunki łowcze bardzo dla nich są utrudnione i zwierzyny prawidłowo ochraniać ani hodować nie mogą.

Pomimo tak niesprzyjających okoliczności twierdzą, że stan zwierzyny z roku na rok podnosi się i poprawia. W lesie Jawiszowskim 1606 morgów, odbyło się w roku 1898 jedno wielkie polowanie, w którem arcyksiążę osobiście brał udział. Na wszystkich gruntach gminnych polowali leśniczowie kilkakrotnie na kuropatwy i raz tylko podczas całego ubiegłego sezonu na zające. Wielkie polowanie leśne odbyło się dnia 20. października r. z. w 12 strzelb. Zabito 1 rogacza, 18 bażantów (kogutów), 1 kuropatwę, 74 zajęcy. Z powodu deszczu polowanie się nie udało, bo bażanty mokre będąc wzlatywać nie chciały, a zające były w polu.

Leśniczym nie wolno nigdy strzelać rogaczy, bażantów ani cietrzewi, wyjątkowo tylko za rozkazem piśmiennym arcyksięcia. Z tego powodu lista użytecznej zwierzyny skromna, aczkolwiek mogłaby być znacznie większa, albowiem stan sarn i cietrzewi w lasach tamtejszych bardzo jest pomyślny co do ilości. Za szkody wyrządzone przez zwierzynę dzierżawcom i włościanom tamtejszym wypłacono podczas ubiegłego sezonu 635 zł. Ogółem zabito w roku zeszłym w tamtejszych rewirach łowczych zwierzyny pożytecznej: 3 rogacze, 370 zajęcy, 21 bażantów (kogutów), 6 cietrzewi (kogutów), 185 kuropatw, 8 przepiórek, 175 dzikich kaczek, 14 kurek wodnych. Szkodliwej zwierzyny: 2 lisy, 11 kun, 74 tchórzy, 64 łasic, 86 psów, 155 kotów, 18 jastrzębi, 45 krogulców, 199 srok, 1439 wron. Razem pożytecznej zwierzyny 782 sztuk, szkodliwej 1439 sztuk = 2875 sztuk.

Leśniczowstwo pana br. H. Czecza w Kozach doniosło mi, że tego roku wielkich polowań nie urządzano, ograniczono się tylko na małe polowania domowe i dla kuchni.

Ubito w sezonie ubiegłym w rewirach:

Kozy	3507	morg.
Kobiernice	1240	„
Hałcnów	1654	„
gminne Bujaków	729	„
gminne Kenty połowa	1500	„
Razem dworskie i gminne	8630	„

1 rogacza, 63 zajęcy, 74 kuropatw, 3 przepiórki, 18 dzikich kaczek, 9 dzikich gołębi, 37 psów i kotów, 1 łasicę, 20 srok, 19 wron, 1 sowę, 1 jastrzębia, razem 247 sztuk pożytecznej i szkodliwej zwierzyny. W Kentach nie polowano.

Leśniczowstwo p. Oskara z Rudna Rudzińskiego w Osieku przysłało mi następujący wykaz:

Rewiry Osiek	5115	morgów
„ Łęki	727	„
„ Bielany	1532	„
Dworskie i gminne razem	7374	morgów

W rewirach Witkowice połowa 951 morgów, Kańczuga połowa 150 morgów, razem 1101 morgów, które są podniszczone, nie polowano, tak samo jak u mnie wcale nic.

Ponieważ mi żadnych bliższych szczegółów o odbytych tam polowaniach nie podano, a osobistego nie brałem w nich udziału, referować więc tylko w krótkości mogę, że o ile mnie wieści doszły, odbyło się tam podczas ubiegłego sezonu kilka polowań mniejszych i dwa wielkie w 18 strzelb w dniach 19. i 20. grudnia r. z. Wiele sztuk zwierzyny padło podczas tych dwóch dni nie jest mi wiadomem, na pogłoski spuszczać się nie chcę, więc wolę przemilczeć. Przysłana mi ogólna lista ubitej w tych rewirach zwierzyny od 1. stycznia 1898 do 31. grudnia 1898 wykazuje co następuje. Pożyteczne: 2 dziki, 8 rogaczy, 547 zajęcy, 370 bażantów, 373 kuropatw, 3 przepiórki, 2 słonki, 1 kszyk, 17 dzikich gołębi, 52 cyranek i podgorzałek, 123 krzyżówek, 9 łysek, razem 1507 sztuk. Szkodliwe: 2 lisy, 2 tchórze, 24 łasic, 70 kun, 173 kotów, 33 psów, 30 jastrzębi, 44 krogulców, 367 srok i wron, 15 czapli, 28 nurków, 2 bąki, razem 790 sztuk. Ogółem pożytecznej i szkodliwej zwierzyny 2297 sztuk.

Pan Teofil Wysocki właściciel Polanki Wielkiej, bardzo gorliwy myśliwy i łowiec prawdziwy, był łaskaw przesłać mi wykaz ubitej u niego zwierzyny, począwszy od roku 1892 do końca sezonu 1898, jako dowód, do jakiego stopnia stan zwierzyny a mianowicie kuropatw, wskutek jego zabiegów i umiejętnego pielęgnowania się podźwignął, co tem większa zasługa, że rewiry jego mają tylko 3977 morgów i polowanie jedynie na własnych i do jego gminy należących gruntach uprawia. Rok ten uważa dla myśliwstwa za bardzo pomyślny; u niego, już po odbytych polowaniach, tyle jeszcze pozostało zajęcy, a zwłaszcza kuropatw, że na rok bieżący przy łagodnej zimie rokuje sobie znacznie większe jeszcze rezultaty, aniżeli podczas co dopiero ubiegłego sezonu. Ubolewa tylko, że nie ma lepszych sąsiadów ze stanowiska myśliwskiego; w istocie bardzo nieszczęśliwy pod tym względem, bo wyjąwszy sąsiedztwa p. Rudzińskiego, otoczony jest z trzech stron sąsiadami, którzy za cel widocznie obrali sobie tępienie a nie ochronę zwierzyny, jak to już w artykule moim z września r. z. wyszczególnilem.

Wykaz ubitej zwierzyny w Polance Wielkiej od 1892—1899.

Rok	rogacze	zające	lisy	wydry	tchórze	cietrzewie	bażanty	kuropatwy	przepiórki	dz. gęsi	krzyżówki	podgorzał.	cyranki	słonki	chruściele	kszyki	kuligi	dubelty bekasy	dz. gołębie	jastrzębie	jastrząbki	czaple
1892/3	1	194	—	2	1	—	—	76	4	—	25	10	10	—	25	4	2	2	4	1	—	—
1893/4	1	192	3	—	—	1	1	97	14	—	23	4	1	1	11	2	—	1	9	—	—	—
1894/5	1	221	1	—	—	—	5	66	9	2	43	5	3	—	4	1	—	1	14	—	2	—
1895/6	1	163	—	—	—	—	13	156	5	—	33	—	3	3	5	—	—		14	1	3	1
1896/7	1	160	—	—	—	—	8	140	2	3	46	7	5	3	13	1	—	9	15	2	5	—
1897/8	1	248	—	—	—	—	7	253	6	3	54	2	7	1	14	3	—	2	10	3	4	—
1898/9	1	300	2	—	—	1	26	327	2	—	56	9	5	—	1	2	—	2	3	1	6	—
Suma	7	1478	6	2	1	2	60	1115	42	8	281	37	34	8	73	13	2	17	69	8	20	1

Kotów i psów pada rocznie przeciętnie 20 do 30 sztuk, wron i srok 40 do 50 sztuk. W tym sezonie odbyło się na kuropatwy polowań 14, na zające 6, z tych cztery mniejsze w pięć strzelb i dwa większe. Z tych jedno 20. grudnia 1898 w 12 strzelb; padło na niem 72 zajęcy; drugie 28. grudnia 1898, padło na niem 68 zajęcy.

Na tem kończę sprawozdanie moje za sezon ubiegły, więcej bowiem wiadomości łowieckich z powiatu tego zebrać nie mogłem.

Adryan br. Larisch, delegat bialski.

Przeworsk, 9. kwietnia 1899.

Przeczytawszy w Nr. 7. *Łowca* korespondencyę pana Kazimierza Bzowskiego, wspominającą między innemi o sarnach polowych, chcę opisać wypadek, jaki zdarzył się u mnie z takiemi polowemi sarnami.

Majątek mój oddalony jest od lasów (hr. Dzieduszyckiego w Zarzeczu) o jakie półtora mili, a pomimo, że na moich polach nie ma ani sztucznych ani naturalnych remiz, ba nawet wąwozu, nigdzie krzaczka, pomimo tego corocznie przebywa tu po kilkanaście sarn i rogaczy, które zamieszkują w rzepaku, życie i pszenicy, wydeptując w tych zbożach z cyrklową dokładnością swoje „karuzele“.

Zeszłego roku wyszedłszy w pole dostrzegłem rogacza, który wystawił głowę z pszenicy. Wezwawszy mego strzelca, kazałem mu wejść z jednej strony pola w pszenicę, zaś sam, wziąwszy z sobą pistolet, z którego lubię czasem z konia pudłować do wron i jastrzębi, konno, niby nagonka zajechałem z strony przeciwnej. Najpierw pomknęło kilka sarn, potem rogacz spłoszony przez mego konia zaczął sadzić wprost na strzelca. Wkrótce rozległ się strzał, widziałem jak rogacz utonął w pszenicy, widziałem jeszcze strzelca, jak po strzale zbliżał się do miejsca, gdzie zapadł rogacz, potem przesłoniła mi widok chmura dymu. Podjeżdżając bliżej dostrzegłem, jak w tej chmurze coś się kotłowało i przewracało i równocześnie doszedł mych uszu przeraźliwy krzyk mego Jędrzeja; rogacz powalił go na ziemię, bódł i tratował. Rozpuściłem konia, lecz przybywszy na miejsce zastałem strzelca zdyszanego i drżącego ze strachu, o parę zaś kroków leżał rogacz w ostatnich podrygach; chciał się zerwać do nowego ataku, tym razem może na mnie, gdy wystrzałem z pistoletu wyprawiłem go na tamten sarni świat.

„Dobrze, żem był wczoraj u św. spowiedzi“, mówił Jędrzej „bo mało żem tego polowania życiem nie przypłacił!“

Opowiedział mi, że po strzale rogacz się przewrócił, ale gdy Jędrzej do niego się zbliżył, zerwał się i z błyskawiczną szybkością, nim mógł spostrzedz, co się dzieje, wpadł na niego, powalił, deptał nogami i przytłaczał głową do ziemi. „Myślałem, mówił, że wybiła moja ostatnia godzina, lecz broniąc się rękami i nogami szczęśliwie udało mi się kopnąć obcasem rozjuszonego kozła w sam nos, poczem go zamgliło i odstąpił mnie“.

Jędrzej chwilowo nie czuł bolu, ale na drugi dzień położył się do łóżka i smarował się zewnętrznie smalcem a wewnętrznie okowitą. Jeszcze po tygodniu pokazywał mi na piersiach siniaki, pochodzące z tego dziwnego pojedynku.

A więc ostrożnie z polowymi rogaczami.

Jerzy Turnau.

Makuniów, w kwietniu 1899.

Na ciągu słonek.

Przed chwilą boski Apollo złożył złotą swą głowę w różowawe mgły zachodu, oświecając jeszcze blaskiem swych już sennych oczu, smukłych drzew wierzchołki. Niebo ustroiło się na noc jak zaklęta królewna, w dyadem z księżyca i gwiazd brylanty. Gdy zachodnia część niebieskiego stropu jasna jeszcze i złota od ostatnich słońca blasków, wschodnia przybrała już płaszcz z ciemnego lazuru, na którym gdzieniegdzie już lśnią nieba klejnoty.

Coraz to ciemniej! Zefir, który podmuchem swych skrzydeł usypiał boga światła, nadleciał z lekkim szumem z zachodu, by uśpić ziemię. Zachwiały się więc lekko pod tchnieniem jego lotu gałązki i pierwszych listków pączki, jakby się otrząść chciały z dziennego pyłu i zasnęły, pochyliły się lekko trawki i stokrótki na leśnej polance rosnące, zakołysał się motyl pijący miód z pierwiosnka, złożył swe skrzydła i usnął.

Lecz w lesie wcale nie cicho jeszcze! Ptaszki wyśpiewują z zapałem miłosne trele, bór cały tętni życiem tych ulubieńców przyrody. Więc śpiewają dzwońce, sprzeczają się ze sobą sikory, czyże, kosy, przedrzeźniają sojki i tym podobne miłosne skrzydlacze. Wspaniałej tej opery harmonię psują od czasu do czasu krakania wron, które po całodziennej walce o byt, nocny odpoczynek na wierzchołkach drzew zakładają. Wysoko ciągnie klucz żórawi, którego nie widać, lecz który tylko żałosnym krzykiem zdradza swój przelot. Nadlatuje z kwakiem para krzyżówek, by na leśnem jeziorku się usadowić. Coraz to ciemniej! i ptaszki umilkły, klucz żórawi popłynął dalej gdzieś w nieznane światy, wrony po długiej sprzeczce ubrały czarnym wieńcem wierzchy nagich jeszcze dębów. Anioł snu uśpił swem tchnieniem, zdawałoby się, całą ziemię!

Lecz tak nie jest w istocie! Tam między lasami na łączce, przecudna idylla! Pasie się rodzinka sarn! czworo ich skubie pierwszą trawkę, rozkoszuje się widocznie tą pyszną nowalią i coraz dalej w łączkę się posuwa. Przez tę samą łączkę przemyka lis, wybiera się w pole, by pod osłoną nocy prowadzić swe dzieło łupieskie. Puszczyki, czy jakieś duchy leśne ponurem wołaniem niepokoją niespiące jeszcze ptaki i dodają całemu wspaniałemu obrazowi jakiejś dziwnej tajemniczości i powagi.

Lecz nagle, mimo zupełnej prawie już nocy, życie leśne zdaje się budzić!

Ptaki jakieś długodzióbe zaczynają latać pojedyńczo, parami, gonią się, biją w locie, chrapią i piszczą, wyprawiają harce w powietrzu zataczając koła i kręgi.

Nagle blask! i huk przeciągły wstrząsa całym lasem! To myśliwy, jedyny i niemy świadek tych tajemnic i wspaniałych dzieł przyrody, ten „król lasów i gór“, jak Jowisz piorunem, zdradził swe istnienie! I na odgłos strzału zawrzało znów na chwilę całe leśne życie!

Puszczyki przerażone zerwały się ze swych siedzib, wrony krakaniem napełniły powietrze, ptaki zakwiliły cicho, odleciała dalej parka krzyżówek, sarny w popłochu ukryły się w gąszczu.

Lecz orgia długodzióbych trwa jeszcze czas jakiś, jeszcze huk kilku strzałów roznosi rosa, w końcu znowu cichnie wszystko i noc z aniołem snu obejmują w moc swoją całą przyrodę.

Gdzieś w oddali echo niesie hurkot wózka, to myśliwy powraca z ciągu słonek.

Albert Mniszek.

Kraków, 29. stycznia 1899.

Kilka słów o drylingach.

Gdy przed niedawnym czasem począł Krupp w Essen wyrabiać swe stalowe lufy dla strzelb śrutowych, postanowiłem, korzystając z ich lekkości, a przytem i wytrzymałości na prężność gazów, dać sobie zbudować dryling z tego materyału. Nie będąc zwolennikiem zagranicznych

firm, oddałem całą robotę w ręce krakowskiego rusznikarza p. Splichala, z tem zastrzeżeniem, że strzał śrutem Nr. 4 musi być na 50 kroków pewnym, bo o strzał kulą, wobec znanej sumienności powyższej pracowni nie potrzebowałem się obawiać. Dlatego zaś rozchodziło mi się o strzał śrutowy, że dryling mój miał służyć jako broń w całem słowa tego znaczeniu uniwersalna, bo chciałem go używać w polu w zastępstwie dubeltówki. Nie ma bowiem zdaniem mojem większej satysfakcyi, jak na każdem polowaniu mieć także kulę w lufie, a strzał na dalszy dystans, czy to do ptaka drapieżnego, czy do czworonoga, sprawia znacznie większą przyjemność niż strzał śrutem.

Gdy dryling mój zeszłego roku w lipcu odebrałem, zaraz wybrałem się na kaczki, by dobroć jego strzałów po za strzelnicą skontrolować. Przez kilka dni polowania ubiłem 58 kaczek i kilkadziesiąt sztuk ptactwa rożnego; nadto kulą wronę i perkoza (*Podiceps cristatus*) na przeszło 150 kroków W możliwie najlepszych warunkach polując na kaczki, straciłem tylko 6 sztuk, mimo, że strzelałem do 60 kroków. Nie będę wyliczał po kolei wszystkich polowań odbytych z drylingiem, jako ciekawe przytaczam tylko, że i na błotach próbowałem z nim szczęścia. Ubiłem przeszło 100 kszyków, z tego znaczną część na dalekie dosyć dystanse.

Stosunkowo najmniej przyjemnie poluje się z drylingiem na kuropatwy. Ale i tego zakosztowałem. Przez cały sezon chodząc z nim na kuropatwy, ubiłem ich 144 sztuk na 200 strzałów. Wogóle ubiłem z drylinga przez przeciąg 14 tu miesięcy 500 przeszło sztuk zwierzyny, z czego kilkanaście sztuk kulami. Rogacza poprawiłem po grzecznym sąsiedzie kulą na przeszło 150 kroków, a w ostatnich czasach zająca na 142 kroków, właśnie gdy z kociołka szczęśliwie chciał się wynosić.

Te cyfry wystarczą zapewne, aby udowodnić, że dryling da się wszędzie użyć i zawsze, naturalnie jeżeli jest odpowiednio zbudowany. Oglądając drylingi Nowotnego z Pragi, zachwycałem się ich wykonaniem, ale stanowczo są za ciężkie i nieporęczne, by je po za knieją można używać. Przytem podobno śrutem nieświetnie strzelają.

Bardzo ładnie wykonane i lekkie są drylingi systemu „Franka“ z Berlina także roboty Nowotnego, z lufą dolną do wyjmowania. Broń ta wygląda jak cacko, cóż z tego, kiedy ciągle trzeba mieć rusznikarza pod ręką, by ją oczyścił, czego szczególniej po deszczu samemu uskutecznić nie można.

Dryling mój kalibru $\frac{16\times16}{11\ mm.}$ waży 3 klg. 200 gr. a lufy ma długości 68 cm. Mimo tego strzela śrutem bardzo dobrze. Po części jest to zasługą jego wykonawcy, po części zaś i sposobu spajania luf. Lufy Kruppa tak są bowiem szeroko spojone, że lufy kalibru 16-tego, z tego powodu wyglądają jakby kalibru 12-tego. Spojenie to powoduje możność znacznej wibracyi luf, a przytem ostry i gęsty strzał.

Mimo, że niekiedy musiałem się wyrzec strzału i zwierzyny, którąbym z dubeltówki zapewne nie przepuścił, mimo to nigdy nie żałowałem tego, że w polu używam drylinga, bo piękny strzał kulą sowicie myśliwską ambicyę wynagradzał.

Erwin Mięsowicz.

Bonów, pod Chorośnicą 24 kwietnia.

Dnia 20. kwietnia przechodziłem z leśniczym, panem Adamem Lerchem, brzegiem błotnej łączki wpośród pola, na którem właśnie pługi dworskie orały. Jeden z parobków zgłosił się z wiadomością, że przed chwilą na łączce zapadła słonka. Nie chciałem uwierzyć, w przekonaniu, że jakiś drobny ptak parobkowi wydał się słonką. Jednakże nie postąpiliśmy stu kroków, gdy z pod nóg porwał nam się dubelt. Leciał tak wolno, że było dosyć czasu, zerwać strzelbę z ramienia i strzelić. Dubelt padł nie dalej jak na 45 kroków od nas. Był zupełnie dobrze odżywiony, nawet tłusty. O tej porze nie zdarzyło mi się nigdy jeszcze spotkać dubelta i dlatego o tem donoszę.

T. Rozwadowski.

Sprawy Towarzystwa.

Prosimy tych pp. Członków Towarzystwa, którzy w sezonie przyszłym mają zamiar sprowadzić żywe zające i kuropatwy, aby raczyli zamówienia nadesłać już teraz do Wydziału, gdyż to ułatwi znacznie sprawę i umożebni niską cenę.

Dnia 24. kwietnia 1899 odbyło się posiedzenie Wydziału Towarzystwa pod przewodnictwem wiceprezesa, ordynata Czarkowskiego-Golejewskiego. Obecni członkowie Wydziału: pp. Dzikowski, Goralczyk, Hamerski, Krogulski, Miziewicz, Szczerbicki i redaktor Kolbuszowski. Na wniosek p. Krogulskiego uchwalono wystosować powtórny urgens do c. k. Namiestnictwa w sprawie nadużyć, popełnionych w rewirze „Mochnate“ w powiecie turczańskim. Przyjęto do wiadomości sprawozdanie zarządu o ruchu członków, który wzmaga się ciągle, o zarządzeniach w sprawach inseratów, polecono rozesłać numera okazowe, a zarazem, aby ułatwić mniej zamożnym myśliwym prenumeratę *Łowca*, polecono umieścić w nagłówku *Łowca*, że prenumerata może być w kwartalnych ratach płaconą. Delegatem na powiat jasielski zamianowano p. Zenona Suszyckiego.

W rozprawie nad zjazdem łowieckim podnosi Przewodniczący myśl urządzenia zjazdu tegorocznego w Krakowie. Po wyczerpującej dyskusyi, w której zabierają głos pp. Krogulski, Dzikowski, Kolbuszowski, Goralczyk, Szczerbicki i Miziewicz, uchwalono, aby jeszcze w tym roku urządzić zjazd we Lwowie. Zjazd urządzony będzie w czasie wyścigów i składać się będzie z Walnego zgromadzenia Towarzystwa łowieckiego i strzelania o nagrody. Do komitetu, mającego urządzić zjazd zaproszono, jako przewodniczącego p. Witołda Korytowskiego, następnie pp. hr. Juliusza Aleksandra Bielskiego, Hamerskiego, Klusika, Krogulskiego i ks. Andrzeja Lubomirskiego. Komitet ten ma prawo kooptowania w razie potrzeby członków z poza Wydziału Towarzystwa. Bliższy termin zjazdu oznaczy komitet. W sprawie sprowadzania zajęcy przyjęto do wiadomości relacyę Zarządu i polecono dalsze czynić starania celem jeszcze większego obniżenia ceny, co

wobec tego, że już obecnie wpłynęło zamówień na 440 zajęczyc i odpowiednią ilość samców, udać się powinno. Z ofert dotąd wniesionych żadnej nie zatwierdzono, decyzyę w tej sprawie pozostawiono członkowi Wydziału p. hr. J. A. Bielskiemu i zarządowi Towarzystwa. Sprawę zezwolenia na odstrzelenie 20 kóz w jednym z rewirów powiatu buczackiego, uchwalono odesłać właściwemu delegatowi do zaopiniowania. Sprawę ubicia łani i śpiczaka w Perehińsku uchwalono odstąpić c. k. starostwu w Dolinie. Uchwalono w końcu udać się do c. k. Namiestnictwa o uzupełnienie przepisów rozporządzenia wykonawczego interpretacyą i wyraźnem oznaczeniem co do świąt „uroczystych“, w które ustawa polować nie pozwala. Po załatwieniu kilku mniejszej wagi spraw, uchwalono wypłacić honoraryum, za niewydrukowany jeszcze artykuł, jednemu z dawnych współpracowników *Łowca*, a zarazem ze względu na jego ciężką chorobę i ze względu na zasługi, jakie dla leczenia psów położył, uchwalono wezwać czytelników *Łowca* do składek na jego rzecz.

Wynalazki i ulepszenia.

Przeciwko systemowi Brennekego, o którym pisaliśmy niedawno, zaczęły się odzywać w ostatnich czasach w niemieckiej prasie myśliwskiej poważne głosy z zarzutami. I tak zarzuca baron H. w czasopiśmie *Wild u. Hund*, że zabezpieczenie tego systemu wcale właściwie niem nie jest, gdyż wielu myśliwych ma ten zwyczaj, że nietylko w przykładaniu się obejmuje szyjkę łoża, ale i gdy niesie strzelbę na plecach czyni to samo, a w takim razie wskutek przyciśnięcia guziczka zabezpieczenie nie funkcyonuje. Następnie nieraz by się zdarzyć mogło, że czy to w wózku, czy w saniach, guzik ten, (którego sprężyna musi być naturalnie bardzo delikatną) przypadkowo może zostać naciśnięty, a w takim razie strzelba znów zabezpieczoną nie jest. Dlatego też radzą Brennekemu, by obmyślił podwójne zabezpieczenie, t. j. aby dopiero przez umieszczenie w dwóch różnych miejscach podobnego przyrządu, uczynić takie przypadkowe odbezpieczenie (*Entsicherung*) bardziej utrudnionem, jeśli niemożliwem. Możnaby to zrobić w ten sposób, żeby oprócz guziczka na szyjce kolby z góry (wierzchu) dać drugi z boku, gdyż dłoń ręki obejmując szyjkę, obejmuje większą jej przestrzeń, nietylko z góry ale i z boku. Rozmyślano i nad tem, czyby tego drugiego guziczka nie dać w tem miejscu, gdzie lewa ręka przychodzi, ale tu słusznie zarzucono, że nie wszyscy jednakowo tę rękę trzymają, jedni bliżej, drudzy dalej. Muszą więc rusznikarze niemieccy znów obmyślać coś nowego, by jak najprędzej swój pomysł dać opatentować. Każdy bowiem pragnie ubiedz innych swych kolegów.

Po raz nie wiem który podnosi się kwestyę czok-borów i ich skuteczności. Już tyle głosów się słyszało i pro i contra, że trudno sobie wyrobić spokojną opinię. Każda ze stron przytacza na poparcie swych wywodów setki przykładów, wypadków z powołaniem świadków, miejscowości, czasu i t. p. Ostatecznie jednak konkluzya mniej więcej ta sama, że na przeciętne potrzeby myśliwego czok-bored jest zupełnie zbyteczny, w iglicówkach zaś, do których używa się papierowych łusek, ewentualnie nawet „treibspiegli“ jest on całkiem niepotrzebnym. Dla treibspiegla czok-bored jest tylko zawadą, przeszkodą, niszczy jego skuteczność. Z drugiej jednak strony nawet używanie „treibspiegli“ przy iglicówkach uważamy za zbyteczne. Strzał i bez nich jest tak ostry i daleki, że lepszego trudno sobie życzyć.

Nie da się zaprzeczyć, że wymagania obecne pp. myśliwych, szczególnie co do dalekonośności broni, są przesadne. Tak przy broni kulowej, jak i śrutowej powinno być pewne maximum odległości. Przy broni kulowej dlatego, że wszelkie te daleko noszące „kilometerbüchsen“ są bardzo niebezpieczne, przy śrutowej zaś dlatego, że śrut, który przychodzi na większą odległość przy jednakowem quantum prochu tylko wskutek jakiegoś nadzwyczajnego wpływu czy to przybitek, czy innych pomocniczych czynników nie może nigdy mieć takiej siły przebijającej. To się zmieni oczywiście wtedy, gdy broń nasza zostanie przystosowaną do prochu bezdymnego, którego siła jest znacznie większa.

Ale tak Bogiem a prawdą, z ręką na sercu, czy tego potrzeba? Zwierzyny i tak coraz to mniej, na co nie pomagają wszelkie starania, a ludzie pragną, by jeszcze można było z większej odległości dosięgnąć tej nieszczęśliwej ofiary. Czyż się tak wiele obecnie na tem traci, że się puszcza zająca, będącego po za obrębem 60 lub 70 kroków? I czy się wiele zyska, gdy go będzie można na tę odległość jeszcze „wziąć“? Zresztą wobec tego, że już obecnie prawie połowa ludzi chodzi w okularach, używa szkieł, jest nadzieja, że gdy wynajdą broń bijącą kulą na 10.000 kroków, a śrutem na 1000, nikt jej nie kupi z tej prostej przyczyny, że nie będzie wówczas człowieka, którzyby widział dalej jak na 30 centymetrów. Już teraz istnieją osoby, które nie chcą wierzyć, że kiedyś w przeszłości żyły narody utrzymujące się tylko z łowów.

Kronika.

Maj.

W tym miesiącu wolno tylko do 15. strzelać głuszce i cietrzewie, od 15. zaś kozły. Dla reszty zwierzyny jest, jak się Pol wyraża „przymierza chwila i pokoju“. Łoś obiera w tym miesiącu niskie lasy, obfitujące w bagna i wody; żywi się latoroślami drzew liściastych i krzewów, z których wierzbę rokitę przekłada nad inne. Wychodzi także, podobnie jak jeleń i sarna, w pola ozime położone bliżej lasów, czyniąc w nich niekiedy znaczne szkody. Jelenie, którym odrastają teraz rogi, chętnie przebywają w niskich a gęstych lasach i krzewinach, szukając miejsc zaopatrzonych w lizawki solne. Rogacze odbijają się od stada. Sarny trzymają się zwykle u brzegu lasów, żywią się pączkami, ziołami i odwiedzają posiewy polne i lizawki. Dziki przebywają w nizinach żyznych, żywią się korzonkami z różnych roślin. Zając siedzi w polach oziminnych. Liszka często wyprowadza swoje dzieci z nory, ucząc je zręczności w chwytaniu różnych zwierząt. Wydra żywi się rybami, rakami i żabami. Zwierzyna drapieżna pielęgnuje swe młode i dziesiątkuje zwierzostan i ptactwo pożyteczne. Łanie, jakoteż sarny cielą się w miejscach spokojnych. Dzikie świnie oprasząją się, młode przebywają z maciorami w gąszczach. Zające parkają się i kocą ciągle, przeważnie w zbożu. Głuszcie, cietrzewie, jarząbki, słonki, gołębie dzikie i inne ptaki leśne niosą jaja lub wylęgają się. W bażantarniach zbiera się w tym miesiącu jaja, które podkłada się indykom do wysiedzenia. Przed koszeniem trawy lub koniczyny należy sprawdzać, gdzie i ile jest w nich lęgów bażantów lub kuropatw.

W tym czasie, gdy życie zwierzyny pożytecznej skupia się koło gniazd i lęgowisk, należy tem zawziętszą walkę toczyć z drapieżnikami. Należy więc wyszukiwać młode wilki i wykopywać lisy z jam, strzelać przy puhaczu skrzydlate drapieżniki, urządzać polowania po lasach i zagajeniach na sroki, wrony i wiewiórki, zwracać baczną uwagę na wałęsające się psy i koty, nastawiać łapki na kuny i łasice etc. Przy gniazdach należy bić jastrzębie, a gniazda niszczyć. Lizawki solne odświeżać. Strzedz, aby chłopcy pasący bydło wybieraniem jaj się nie bawili.

Nowe pismo łowieckie. Od dnia 1. kwietnia br. wychodzi w Warszawie nowe pismo łowieckie, pod tytułem *Łowiec polski*, pod redakcyą zasłużonego na polu literatury łowieckiej, p. J. Sztolcmana. Nowe pismo przedstawia się bardzo pokaźnie i odznacza się różnorodnością treści. Spis współpracowników jest szeregiem imion znanych jak najpochlebniej na polu praktycznego łowiectwa i jego literatury. Nie wątpimy, że pismo to będzie miało powodzenie, na jakie zasługuje i życzymy mu tego z całego serca.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya: Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski**.
Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie — pod zarządem Z. Hałacińskiego.